6104

Biblioteka Jagiellońska.



II



compactura sumptibus m. iunio 1902

№ 6104



6104 teczka

niedruk

Obrazek ze stepów Orenburgskich.

Rozległe, okiem nie przejrzane równiny, porosło
ne tylko gdzie niegdzie jeziorkami, z gorzką lub
słodką wodą, już z wiosny spalone słonecznym upa
łem, przed którym i zwierz dziki napróżno szuka
schronienia, a zimą przedstawiające swobodne obsza
ry dla rozhukanych buranów, obszary, na których
prócz zeschłej łodygi, nie znajdą wichry zapory, mio
tające z góry i z dołu tumanami śniegu — równiny te od
dzielone od Europy rzeką Ural, to step azyatycki, dzi
ki; ponury, niemy, otwarty. — Napróżno strudzone oko
szuka przedmiotu, na którym by choćby na chwilę spocząć
mogło, który by mu przypominał inny, znajomy świat.
Tu już niema stacyj pocztowych, miast, wiosek, na
wet znaku życia ludzkiego, gdzie niegdzie tylko w
jakiejś pochyłości nad jeziorem znajdzie się jakiś
ślad, że Kirgizy, przybyli na chwilę z tabunami
owiec, bydła, koni, wielbłądów, wypasili trawę, i w pa

ru

oz tygodni pociągnęli dalej, gdzie jeszcze trawa nie wypalona; oni przywykli do tego otawianego nieba z palącem słońcem, przywykli do buranów, (huragany śnieżyste) tak jak ich stada, te nigdy nie znały dachu, tamten przed upałem lub mrozem chroni się do kibitki, (namiot) zjada barana który się wyparł własnym przemysłem, odzieje się jego skórą, napije kumysu, (napój z mleka końskiego) i cóż mu więcej potrzeba? Nigdy nie dotknął się ziemi, bo od niej nic nie potrzebuje, nic, nawet soli i chleba, jedynym jego sprzętem w kibitce, jest kocioł z pokrywą, i worek skórzany do przechowania kumysu. –

To też nie spotkasz tu błądzącego turysty, tak daleko miłość nauki nie sięgła, – zaboru to co innego – ale od czasu do czasu przesunie się gromadka ludzi uzbrojonych, za nimi skrzypiące ciągną furgony, nie jest to przecież dobrowolna przechadzka – wyszedł rozkaz, żołnierz pochwycił tornister na plecy, karabin, kilka funtów sucharów, przeżegnał się jeśli umie, i poszedł obojętny gdzie? po co? czy wróci? Do takiej wędrówki i ja byłem przyczepiony niegdyś, ale bez karabinu, jako arestant – szedłem na służbę. –

Po kilku tygodniach marszu, odbywanego po większej czę
ści nocą dla chłodu, ujrzeliśmy nareszcie jakiś szary
punkt z daleka, to forteca – i coś jak gdyby uśmiech
bólu czy szyderstwa, przebiegł po opalonych twarzach
konwojujących i konwojowanych, bo forteca ta mia
ła być celem podróży wielu z nas, inni mieli pójść
dalej – konwojnym zaś było to obojętne, bo dla nich
wszędzie taż sama służba – niewola. –

Czyś widział kiedy czytelniku widmo potępienia? ha!
może widziałeś z wygodnej loży przesuwające się przez
scenę, widmo znikło za kulisami i przestało cier
pieć – ale spojrzyj tam! to wychudłe, opalone w
szarej szynieli widmo, co z opuszczoną na piersi
głową, stoi nad brzegiem Sir-Darii, patrząc w wiecznie
płynące fale – to polak – to wygnaniec, porwany od
Matki, familii, i tu rzucony na wolne konanie. – A
tam przy stosie drzewa stoi żołnierz, słońce mózg mu
przepala, a on stoi nieruchomy, karabin zdaje się przy
rósł mu do ramienia, pot płynie po zniszczonej twarzy,
a on pilnuje kazionnego dobra – to także polak –
wygnaniec, porwany od żony, dziecięcia – pozbawio

ny wszystkiego, i tu rzucony na rozpacz.— A tam w koszarach, w brudnej izbie, pomiędzy dwustu żołdactwa, w kącie siedzi na tapczanie młodzieniec, w grubej koszuli, szary szyniel to jego pościel, cały majątek— a i ten młodzieniec znękany cierpieniem, znał lepszą dolę— to także polak— i za to okuty w kajdany i po rocznej wędrówce, rzucony tutaj by służył wiernie, i piersią własną zastawiał ten kraj, i walczył o dalszą zdobycz. Żołdactwo chałaśliwe, brudne, pijane, bije się i krzyczy, a on wsparty na łokciu, w zadumaniu przebiega wspomnienia przeszłości, i te błogie chwile kiedy kochał i był kochanym.— O! nie budź go z tego zadumania, bo jeśli w tej chwili spojrzy na rzeczywistość, lub serce pęknie ~~mu~~ z bólu, albo szaleństwem zakończy cierpienia.— Patrz tam! jakiś waryat przebiega ulice, młody jeszcze, a już zmarszczkami zorane ma lica, ubrany dziwacznie, fantastycznie w papiery, papierki i wstążki, zagląda do każdych drzwi i szuka czegoś, "nie tędy, nie tędy" westchnie i spieszy dalej, gromadka uliczników biegnie za nim, szturcha, szydzi, a on obojętny na zy, biegnie dalej i szuka— to także polak— cierpienia złamały ducha, utracił zmysły, lecz nie ~~[illegible]~~ zapomniał utraty

kochanej ojczyzny, i szuka ciągle drogi do niej. —
Wstąp na chwilę do szpitala, tu na łożu boleści wije się młodzieniec, pasuje się ze śmiercią, już nie pozna je kolegów; straszna gorączka pali go, i w ostatniej chwili konania woła " dajcie mi konia, prędzej konia! spieszno mi do polski, do polski, o... dobrze... już... już jadę ... do ... pol ...,, i skończył cierpieć.[F.]
Dwudziestu było nas w tej fortecy, a ileż to fortec rozrzuconych w stepie i po nad Uralem, wielu było jeszcze z 1831 roku, rok 1846 i 48 zwiększył liczbę potępionych, a nikt nie pamiętał przykładu przebaczenia, powrotu do kraju — nie każdy zaś miał dosyć siły by oprzeć się rozpaczy, i jeżeli przedwczesną śmiercią nie uwolnił się od niewoli, często, wydzierał sobie to życie, które mu już nic nie obiecywało w przyszłości — ileż to trzeba było przecierpieć by dojść do tej ostateczności? —
Po między kolegami ~~zaalartem~~ był Julian, wysoki, chudy, milczący; z domu nie miał żadnej pomocy, bo i rzadko kto ją miał, a jeżeli zjawił się jaki grosz, potrzebujących było tylu — Julian

F Paszkiewicz.

więc jak i inni żył z kotła żołdackiego, kapuśniak i czarny chleb, to był wdzięczny pokarm. — Czy myśli już zapomniał, czy zamknął się w sobie, nie wiadomo, ale unikał towarzystwa, po skończonej musztrze lub warcie, siadał w kącie na tapczanie z założonemi rękami, i zimnem okiem patrzał przed siebie na zwykłe sceny życia sołdatów — zbudzony z odrętwienia jakimś głośniejszym hałasem lub bójką, wydobywał z pod tapczana starą, drutem powiązaną ~~dubeltówkę~~ pojedynkę, przekazaną mu przez umierającego kolegę, i wychodził w step; wracał już wieczorem, zwykle obwieszony dzikiemi kaczkami, bo strzelał dobrze, i było co strzelać, większą część zwierzyny szła na sprzedaż, (kaczka 6 groszy) by kupić prochu i śrutu, reszta na wspólną ucztę dla kolegów.

Z Petersburga przywieziono Hamyłkowa, ten, choć mockał, chociaż miał brata rodzonego gubernatorem w sąsiedniej Upinskiej gubernii, nie mógł przenieść tyraństwa i nędzy, i w krótce umarł, pozostawiając Julianowi na pamiątkę, i w szczególną opiekę, paro miesięczne szczenię, nazwiskiem Russland. W koszarach trzymać psa, zabrania zakon, biedny Julian umieszcza we

nowego wychowańca pod strychem, częściej wychodzi na polowanie, by zarobić parę kopiejek na mleko i bułkę dla niego, i mała istota żywiona zawsze jedną i tąż samą ręką, przywiązało się do swego pana, lizało mu ręce i tuliło się do niego – a i Julian, zimny, obojętny, jak by ocknął się z uśpienia, życie dotąd bez celu, znalazło obowiązek, był komuś potrzebny, i godzinami przesiadywał na strychu w towarzystwie Russlanda.

Nareszcie wyrósł wychowanek na ślicznego wyżła, figlarny, żywy, wesoły, zyskał łaski u żołdatów, a następnie i obywatelstwo – już nie na strychu, lecz w tej samej ogólnej izbie, pod jednym szynielem z swym panem zakwaterował. Julian odmawiał sobie wszystkiego, ale dla Russlanda było zawsze mleko i bułka, bo chleba czarnego jakim pan się żywił on nie mógł znosić; tak minął rok, Russland stał się faworytem wszystkich żołnierzy, ale on kochał i znał tylko swojego pana, na polowaniu rozwinął niesłychane zdolności, w stepie, na wodzie, pod wodą, odszukał postrzeloną zwierzynę, i przynosił swojemu panu, chociażby

nie do niego właziła, a Julian szczęśliwy, kochał go jak najlepszego przyjaciela.
Zimową porą prawie nie ma w stepie polowania, to też na wiosnę, jak tylko śnieg zacznie topnieć, zjawiają się stada przelotnego wodnego ptastwa, i długo więzieni amatorowie myśliwstwa, chwytają furyą jaką kto dostać może, choćiażby nawet karabin ze skałką, (innych nie mieliśmy) i idą w step, bo tylko tą jedyną rozrywką można urozmaicić nudy koszarowe.
Julian rozumie się był pierwszym, Kurcław wyciągnął z pod łapczana buty, torbę, i obadwaj przyjaciele poszli próbować szczęścia. W krótce tuż nad jeziorem zrywa się kaczka, i postrzelona pada na środek jeziora jeszcze zamarzniętego. Kurcław nie czeka rozkazu, rzuca się za kaczką, dopada ją, chwyta, ale w tej chwili lód się załamuje, i kaczka i pies znikają pod lodem. Julian przerażony rzuca furyą, biegnie do psa, lód się ugina, trzeszczy, iść nie podobna; i straszna boleść ogarnia biednego wygnańca – w tem pies trzymając kaczkę pokazuje się nad wodą, ale naprożno usiłuje się wydobyć, rzuca się na lód, lód się

łanie, i jak w zaczarowanem kole krąży w około, i zawsze ten sam zawód spotyka. Julian wraca na brzeg, przyczepia stępel do lufy, i jak wąż pełznie po lodzie, ale do psa jeszcze daleko, a lód się ugina, trzeszczy, i woda podpływa, petznąć nie podobna — Russland zmęczony puścił już kaczkę, już ledwie trzyma się na wodzie, i piszczy, i skomli jakby błagał pomocy, a Julian w rozpaczy na próżno ogląda się, nigdzie żadnego ratunku — żadnego — Nareszcie zrywa z siebie koszulę, drze na pasy, skręca sznur, przymocowywa do fuzyi i znów pełznie po lodzie. Pies przestał już piszczyć i coraz więcej opuszcza się na dno, a biedny Julian rozebrany, pełznie po lodzie, zdaje się cały w wzrok się przemienił, pot zimny wystąpił na skronie, bo jeszcze chwila, już będzie za późno, a lód znów trzeszczy, (ugina się) i woda pokrywa petznącego — w rozpaczy zarzuca sznur, pies chwyta go zębami z chciwością, ocaleni! dostali się przecież do brzegu, pies się otrząsa i skacze z radości, a Julian zapomniawszy o sobie, wyciera

go

szynielem, i spieszy do koszar, w drodze dopiero spostrzega że mokry szyniel bez bielizny, nie bardzo grzeje. Trzy dni przeleżał chory, ale uratował przyjaciela, który w krótce miał się stać powodem nowych przykrości.

Zalety Rusłana (żołnierze nie mogąc spamiętać nazwiska Russland, przemienili je na Rusłana, bohatera powiastek ludowych) znali wszyscy w całej fortecy, żołdacy opowiadali o jego przywiązaniu do pana, o jego zmyślności, niesłychane historye, tak że Russland urósł w oczach załogi fortecy, i jej mieszkańców w jakieś dziwo. Przybywa Naczelnik dywizyi na przegląd, i zaraz na wstępie, opowiadają mu o nadzwyczajnym psie. Jenerał amator nadzwyczajnych rzeczy, po skończonym przeglądzie, przysyła po psa i po właściciela. Strwożony Julian staje przed Jenerałem. —

— To twój pies?

— Tak Jaśnie W. Jenerale

— A! ładny, ładny, hm, co? ładny?

— Tak sobie, nie brzydki J. W. Jenerale

— Nu a do pola, dobry co?

— Dosyć J. W. Jenerale — i zimny pot drzeszcz

przebiegł po biednym właścicielu, bo zrozumiał myśl jeneralską.

— A skąd go masz?

— Sam wychowałem J. W. Jenerale

— Hm, sam, — i pan Jenerał zaczął chodzić po pokoju, Kurland jakby się domyślał rozmowy przywarował u nóg Juliana.

— A na co tobie pies? tak ty ot sprzedaj mnie go, ja zapłacę, zapłacę tobie.

— Przebacz J. W. Jenerale, on nie jest do sprzedania.

— Ot głupstwo powiedziałeś, wszystko jest do sprzedania, ot tobie 50 cetkowych (rubli), — i pan Jenerał rozwinąwszy papierek przed oczami Juliana położył na stole.

— J. W. Jenerale, ja nie mogę sprzedać tego psa.

— No ja wiem, ty chcesz sto, no ot tobie, masz jeszcze 50 cetkowych, to razem robi sto.

— J. W. Jenerale, przebacz, to mój przyjaciel, nie mogę sprzedać.

— Jak to? sto cetkowych mało?

— Owszem, dużo J. W. Jenerale, on nie wart tyle, ale dla mnie jest drogi

— No tak wiesz co? ja Jenerał, mnie pies podobał się, ot tobie jeszcze sto, to masz 200 cał kowych, ale patrz co by ty mnie nie oszukał.

Julian blady i drżący jęknął boleśnie, Jenerał może mu dopomódz do wydźwignięcia się z ozynicla, spojrzał na psa, łzy zabłysły mu w oczach.

— Nie J. W. Jenerale, za nic nie oddam, to mój jedyny przyjaciel.

— Ot głupetwo, ja wiem co on nie wart tych pieniędzy, ale on podobał się mnie, ja chcę mieć go.

Pan Jenerał przeszedł znów do pugilaresu dobywać pieniędzy, a każdy papierek był nowym ciosem dla biednego Juliana, bo w miarę zwiększającej się summy rosło niebezpieczeństwo, jego kochany Kuss tans miał mu być wydartym, miał znów pozostać sam.

— Nu ot tobie jeszcze sto, tak razem, raz, dwa, trzy, ot trzysta całkowych.

— Wola Wasza J. W. Jenerale, róbcie pan co chcesz, ale nie mogę sprzedać przyjaciela — I nie mogąc dłu

żyć wytrzymać tych tortur Julian wymknął się za drzwi, a Pan Generał zdziwiony długo jeszcze chodził po pokoju mrucząc pod nosem „ot głupi – ot durak taki durak – tysięcy rublowych i nie chce – nu taki już durak – a ja to? ja? tfu„ – papierki wróciły do pugilaresu. –

Julian jak obłąkany wybiegł w step, by nie widzieć ludzi, nie słyszeć ich głosu, bo zdawało mu się, że wszyscy czatują na jego Russlanda. Zmęczony, głodny, późno już w nocy powrócił do koszar.

– Czy Generał odjechał? – zapytał dyżurnego.

– Odjechał.

– Dawno?

– Przed wieczorem, szukali was tu –

– Kto?

– Batalionny przysłał.

– A po co?

– Nie mogę wiedzieć –

Julian niespokojny, legł na tapczanie, przytulił Russlanda do piersi, i noc całą nie zmrużył oka, bojąc się, by mu podstępem nie wydarto przyjaciela.

Na drugi dzień rozeszła się wiadomość o targu psa, i biedny Julian jednogłośnie przez całą osadę uznany został za waryata. Jak to? nie oddać psa kiedy Generał tego sobie życzy? jak to? za psa nie wziąć 300 rubli, kiedy sam nie ma koszuli, nie ma kopiejki na kawałek chleba? To mówili ludzie, a co mówił pan dowódzca batalionu?!!!

Jasieńczyk

Zurich
83 Stycznia 1866 r.



